Polskie listopady

Fot. cocoparisienne from Pixabay

Stefan Król *(London, Ontario, Kanada)*

Polska ma dwie ważne daty w nowożytnej historii: trzeci maja 1791 i jedenasty listopada 1918 r. Obie uczyniła świętami narodowymi. Pierwsza data zamyka historię Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w dwa lata bowiem po Konstytucji Trzeciego Maja nastąpił kataklizm rozbiorów. Druga rozpoczyna odrodzenie i historię Drugiej Rzeczypospolitej. Dobrze, że tak się

stało. Te dwa święta unieważniają niejako rozbiory, zachowują ciągłość wolnej Polski.

“Listopad to dla Polski niebezpieczna pora” – mówi w dramacie Stanisława Wyspiańskiego “Noc listopadowa” Wielki Książę Konstanty. Rzeczywiście, jeśli przyjrzymy się różnym polskim listopadom, to przyznać musimy, że książę miał rację. Dzieje agonii i dzieje zmartwychwstania Rzeczypospolitej rozegrały się w wyobraźni Polaków właśnie na przestrzeni tego jednego miesiąca.

Pierwsza konfederacja, która wezwała na pomoc Rosję do rozwiązania wewnętrznych problemów Polski, została zawiązana w Tarnogrodzie 26 listopada 1715 r. Pierwsza konfederacja, która nastąpiła przeciw Rosji – powstała w Dzikowie w 1734 r. W cieniu Rosji i wśród coraz szybciej następujących po sobie listopadów minęło także panowanie ostatniego monarchy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, koronował się bowiem Stanisław August 25 listopada 1764 roku. Ostatni sejm Rzeczypospolitej – rozbiorowy sejm grodzieński – zakończył obrady w r. 1793 – 23 listopada. W niespełna rok później konało już powstanie kościuszkowskie: 4 listopada 1794 doszło do pamiętnej rzezi Pragi, 5 listopada do kapitulacji Warszawy, a 16 listopada do rozwiązania ostatnich oddziałów pod Radoszycami. Po upływie roku (a po 31 latach tragicznego panowania) Stanisław August złożył koronę w tym samym dniu, kiedy ją

założył – 25 listopada.

Zanim nastąpiło listopadowe wskrzeszenie Polski w XX w., najważniejsze wydarzenia czasów niewoli rozegrały się znów w listopadzie. 28 listopada 1806 r. armia napoleońska przyniosła wolność pruskiej wtenczas Warszawie. Po sześciu latach kolejny listopad pogrzebał możliwość wskrzeszenia całej Rzeczypospolitej, gdy w dniach 26-28 listopada 1812 armia polska towarzysząca Napoleonowi przeprawiła się przez Berezynę z wielkimi stratami w odwrocie spod Moskwy.

I znów mijały lata i kolejne listopady wskrzeszały lub zabijały polskie idee wolnościowe. 29 listopada 1930 r. pożar warszawskiego browaru na Solcu stał się sygnałem do największego naszego powstania narodowego – nazwanego listopadowym właśnie – a w rezultacie także do wielkiej wojny polsko-rosyjskiej, trwającej dłużej niż moskiewska wyprawa cesarza Francuzów. 16 listopada 1846, dokładnie w rocznicę Radoszyc, wcielono do Austrii ostatni kawałek polskiej państwowości – Rzeczpospolitą Krakowską; listopad 1864 widział z kolei kres działalności ostatniego partyzanta Powstania Styczniowego – księdza Stanisława Brzóski. Aby zakończyć tę listopadową wyliczankę dodam, że obalenie muru berlińskiego w 1989 r., symbolu władzy komunizmu nad Europą, nastąpiło także w listopadzie.

Po wielu pozornie cichych latach, gdy trzeba było schować szable do pochew, a zaprzęgnąć do pracy wolnościowej pióra i umysły, nadszedł wreszcie listopad 1918 r., najszczęśliwszy chyba listopad w całej historii Polski. Polska stała się znowu niepodległa i mogła wrócić do Europy. Więc może skończyła się wreszcie nasza zła listopadowa passa.

Przedwojenny dorobek odrodzonej Polski warto i należy wspominać z uznaniem, nawet z dumą. Wolność, o którą Polacy walczyli powstaniami, wolność długo wyczekiwaną, wolność wymodloną, nie została zmarnowana. Polacy wiedzieli, co z wolnością zrobić, jak wolność zorganizować. I jeśli po drugiej wojnie światowej wydawało się czymś niewyobrażalnym, aby ład w Europie dało się ponownie ustanowić bez przywrócenia państwa Polskiego (nawet Stalin nie myślał o utworzeniu 17. republiki), fakt ten należy przypisać przede wszystkim zdobyczom Drugiej Rzeczypospolitej w ciągu owych niepowtarzalnych dwudziestu lat prawdziwej niepodległości między pierwszą i drugą wojną światową.

Podstawowym problemem odrodzonej Polski była integracja. Ludność, instytucje i tradycje trzech zaborów należało stopić w jedną całość. Żeby sobie uświadomić, jak ogromnie trudny i złożony był to problem, podam tylko, że w pierwszym okresie niepodległości było w obiegu pięć różnych walut; pięć regionów kraju (Wielkopolska, Śląsk, Cieszyn, Galicja Wschodnia i

Środkowa Litwa) utrzymało różne systemy administarcji; w wojsku używano czterech różnych oficjalnych języków; w sądach – trzech różnych kodeksów karnych; tory kolejowe wymagały wagonów o dwóch różnych rozstawach kół.

Dodajmy do tego ogromne zniszczenia wojenne. Prawie 90% międzywojennego obszaru państwa polskiego było terenem działań wojennych. Na 22% powierzchni toczyły się długotrwałe, wyniszczające walki pozycyjne. W wyniku działań wojennych, epidemii, głodu i deficytu urodzeń liczba ludności w 1920 r. na terenie Polski zmniejszyła się o prawie trzy miliony w stosunku do roku 1910. I oto w przeciągu zaledwie dwudziestu lat, które historia podarowała Polsce międzywojennej, naród polski zdążył zespolić swe trzy dzielnice, potwierdzić i wzmocnić swą osobowość, wyrażoną w większości przypadków przez demokratyczne instytucje. Pamiętajmy, że wybory do pierwszego sejmu polskiego odbyły się już 26 stycznia 1919 r., gdy formalnie rzecz biorąc nawet jeden kilometr polskich granic nie był ustalony. Frekwencja wyborcza była bardzo wysoka i wahała się, mierząc powiatami, od 60 do 90 procent. Polskie tradycje parlamentarne zaliczają się do najstarszych w Europie, sformowały się już w XV w. Konieczność zwołania sejmu była wprost dogmatem dla ludzi spodziewających się, że wojna światowa poprawi położenie narodu. Odzyskawszy niepodległość Polska szybciej i energiczniej zabrała się do zwoływania sejmu niż zorganizowania armii, choć i armię zdążyła stworzyć na czas.

Doszło do głosu poczucie historyczne i prawne ogromnej większości społeczeństwa.

Co było pierwszą, podstawową przyczyną tego sukcesu narodowego?

W drugim roku swego pontyfikatu Jan Paweł II mówił na forum UNESCO:

> Jestem synem Narodu, który przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejowe, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć – a on pozostał przy życiu i pozostał sobą, zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako Naród – nie w oparciu o jakiekolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym przypadku potęgą większą od tamtych potęg […]. Istnieje podstawowa suwerenność społeczeństwa, która wyraża się w kulturze Narodu. Jest to ta zarazem suwerenność, przez którą równocześnie najbardziej suwerenny jest człowiek.

Tak więc to polska kultura zwyciężyła naszych zaborców. To był ów dynamit, który rozsadzał pęta niewoli – mimo długiego ciągu smutnych polskich listopadów.

Nie jest łatwo udzielić w pełni uzasadnionej odpowiedzi na pytanie, w czym tkwiła – i mam nadzieję jeszcze tkwi – ogromna siła i atrakcyjność polskiej kultury. Nawet w czasach niewoli wielu Kolbergów, Estreicherów, Trauguttów polonizowało się i stawało polskimi patriotami. Można co najwyżej pewnym obrazem, czy raczej opowiadaniem, naprowadzić na właściwą – jak się wydaje – odpowiedź.

Każdy naród pieczołowicie przechowuje swoje najstarsze teksty. Norwegowie i Szwedzi są dumni ze swoich starych sag skandynawskich, opiewających przewagi wojenne wikingów. Francuzi mają słynną "Przysięgę strasburską" z 842 r., wypowiedzianą na znak przymierza politycznego przez dwóch wnuków Karola Wielkiego. Najstarsze zapisane zdanie włoskie nie nadaje się do powtórzenia, bo jest bardzo brzydkie. Najstarsze zapisane polskie zdanie znajduje się w tzw. Księdze Henrykowskiej, pochodzącej z drugiej połowy XIII w. Jest to pisana po łacinie – z wyjątkiem owego jednego zdania polskiego – kronika klasztoru spod Wrocławia. W jednym ustępie kronika opowiada, jak to w pobliżu klasztoru rolnik Boguchwał Brukał otrzymał od księcia Mieszka Starego ziemi "na cztery woły", a potem sam zagarnął lasu "na cztery pługi". Wracał z tego karczowania bardzo utrudzony, ale gdy w domu widział, jak żona męczy się przy żarnach, mieląc zboże na chleb, nieraz jej powiadał (i tu kronikarz zapisał, co on do niej po polsku mówił): "Daj ać ja pobruszę, a ty poczywaj", przekładając na współczesna

polszczyznę znaczy: “Daj, niechże ja pomielę, a ty odpocznij”.

To pierwsze polskie zdanie wskazuje, w czym tkwi siła polskiej kultury, jest to po prostu kultura rodzinna. To polski dom okazał się fortecą polskości. Zaborca nie przeszedł progu polskiego domu rodzinnego.

Żyjemy w określonym miejscu i w określonym czasie. Stwierdzenie oczywiście banalne, ale konsekwencje faktu wyrażonego tym stwierdzeniem banalne nie są, bo on właśnie określa nasze życie, nasz sposób bycia między ludźmi, nasz projekt przyszłości i sposób dziedziczenia, nasze hierarchie wartości, pragnienia, sposoby rozumienia świata. Miejsce to przestrzeń, która jest w zasięgu mojej ręki, którą wyznacza próg mojego domu, granica powiatu lub prowincji, słupy graniczne mojego lub nie mojego państwa. I czas. Czas zapamiętany, opowiadany, czas życia moich rodziców i dziadków, przeszłość niby umarła, a żyjąca we mnie, i przyszłość – pole realizacji moich zamiarów. W obrębie tej przestrzeni i tego czasu buduję swój krąg swojskości, bez którego nie mogę być szczęśliwy, bo nie mogę czuć się bezpieczny. Budując krąg swojskości wchodzę w kontakt z innymi ludźmi, którzy żyją na tym terytorium, ale szukam przede wszystkim tych, co są ukształtowani przez tę samą kulturę, z którymi łączą mnie te same mity i przesądy, którzy mają tę samą pamięć i rodzaj wyobraźni, którzy rozumieją moje dowcipy. Ci, co twierdzą, że więzy narodowe można z dnia

na dzień zastąpić innymi więzami grupowymi, np. zawodowymi, nie wiedzą, co stanowi fundament ich tożsamości duchowej, są podobni do pana Jourdain z komedii Moliera, który nie wiedział, że mówi prozą.. Ale i ci, co nie chcą zobaczyć poza swoim płotem sąsiada, nie uczynią swego mieszkania domem. Bo dom jest wprawdzie miejscem bezpieczeństwa i swojskości, ale właśnie dlatego, że jest, również miejscem otwartości i gościnności, gdzie gospodarz siadając na progu może powiedzieć – jak w legendzie o greckim filozofie ogrzewającym się przy domowym ogniu – przechodniu, wejdź, tu także mieszkają bogowie. Ci, co tego nie wiedzą, są podobni do rozbitków na bezludnej wyspie.

Nasze obyczaje dotyczące życia i śmierci, miłości, narodzin i wszystkich ważnych wydarzeń, stwarzają wokół nas jakby żywioł, w którym żyjemy; są naszą sprawdzoną łódką, w której płyniemy przez życie. Bez tej łódki musielibyśmy się chwytać przypadkowo napotkanej belki obcych dla nas obczajów. Na takiej belce można dopłynąć do najbliższej wyspy, ale nie można po ludzku żyć.

Stefan Król *(1937-2015) – kanadyjski fizyk, felietonista.*

O aptekarzu z Jasła, który zmienił świat i skutkach jego wynalazku

Fot. Lukas Baumert z Pixabay

Stefan Król *(1937-2015)*

Wiek XX przeszedł już do historii. Jeśli patrzeć na jakości historyczne, a nie daty kalendarzowe, wiek XX skończył się w 1989 r. Wraz z upadkiem muru berlińskiego, kiedy to historia zrezygnowała – miejmy nadzieję; ostatecznie – z komunistycznego sposbu uszczęśliwiania ludzi. Wiek XX bywał skracany także na poczatku. Za jego początek istotny – nie kalendarzowy – uważa się wybuch rewolucji 1905 r. Do głosu politycznego doszły wtedy po raz pierwszy, głosy uprzedniego „wieku pary i elektryczności". Produkcja przemysłowa zastąpiła produkcję rolną w funkcji głównego regulatora życia społecznego. Nie wschód słońca, ale syrena fabryczna stała się sygnałem do rozpoczęcia nowego dnia pracy. Sytość i głód zaczęły się rozdzielać w różne regiony geograficzne. Tam, gdzie się nie rozdzieliły, kontakt pozaprodukcyjny między nimi sprowadzał się do strajków i buntów niezadowolonych.

Stabilne społeczeństwa stanowe składające się z ludzi akceptujących to kim są, ustapiły miejsca społeczeństwom przemysłowym – ludziom niezadowolonym z tego, co mają. Godność rolnika i rzemieślnika przegrywała z bezwzględnością najemcy. Mentalność rolnicza ustąpiła miejsca mentalności technicznej. Przy koncu millenium nawet uprawa roli stała się przemysłem. Zmiany następowały początkowo powoli, później

szybciej, ale kierowała nimi właściwie jedna przyczyna: użyteczność. Trudno bez większego zastanowienia zaprzeczyć, że wszystkie wynalazki, wszelkie nowe zasoby energii, są użyteczne dla człowieka, ponieważ poprawiają warunki życia. Śilnik spalinowy jest lepszy niż koń w zaprzęgu, gdyż pozwala na szybszą podróż, i to coraz większej liczbie ludzi, co jest –oczywiście – użyteczne, bo wieksza jest wygoda życia. Do pewnego punktu – niestety, kiedy gęstość spalin uniemożliwi oddychanie.

Jest jeszcze i drugie *niestety*. Kierowanie się jedynie użytecznością wytwarza mechanizm samonapędzający się: wynalazek pociąga za sobą wynalazek. Żeby silnik spalinowy pracował niezawodnie musi mieć niezawodne świece, które wymagają odpowiednich materiałów, te z kolei odpowiedniej technologii. Na każdym etapie wytwarzania pracują wyspecjalizowane śilniki. I tak wplątaliśmy się w nieskończoną spiralę postępu. Dokąd ta droga nas zaprowadzi? Czy płynąc łodzią postępu technicznego napotkamy wodospad, który będzie naszą otchłanią, czy spokojne jezioro odkrywające przed nami krajobraz raju?

Na początku XX wieku rzadko zadawano to pytanie, nie bardzo go sobie nawet uświadamiano. Byliśmy pewni raczej raju. I pewni siebie. Wydawało się, że rozum ludzki wcześniej czy później rozwiąże wszystkie problemy. A te problemy, które nie

mają rozwiązania, są po prostu bezsensowne. Człowiek myślał, że staje się bogom równy. To właśnie na progu kolejnego wieku ludzka pycha powiedziała przerażające słowa: *Bóg umarł. Obwieszczam wam Nadczłowieka*. Druga część tego obwieszczenia stała się, niestety, ciałem. Znamy dzieła „nadczłowieka”. Pierwsze zadanie, które sobie nadczłowiek postawił, to znalezienie „podczłowieka”, który będzie ponosił koszty „nadludzkich” celów. Kryteria klasyfikacyjne w różnych miejscach były różne, ale wynik ten sam: Oświęcim i Kołyma różnią się sieszczegółami technicznymi i klimatycznymi, ale nie efektem końcowym. Degradacja człowieka osiągneła w obu przypadkach absolutne dno.

Zabrzmi to okrutnie, ale nie będzie to chyba przepowiednia zupełnie fantastyczna, gdy powiem, że historię XXI wieku w wiekszym stopniu wyznaczać będą rzeczy, które po nich nastapią niż miliony ofiar XX-wiecznych totalitaryzmów. Umarli nie mają racji, a współcześni żywi mierzą jakość życia głównie ilością posiadanych przedmiotów, możliwie najnowszych. Produkujemy więc coraz więcej, coraz mniej trwałych i coraz mniej potrzebnych rzeczy. Stare wyrzucamy bez sentymentu do śmieci. Wyznanie Teresy Tatarkiewiczowej, żony wielkiego filozofa: „Bardzo lubię przedmioty, które posiadamy. Przywiązuję się do nich jak do bliskich ludzi wraz z ich wszelkimi usterkami i wadami”- brzmi rzeczywiście jak nie z tego wieku. Nie szacowna dawność lecz nowość są kanonizowane i to bez żadnego procesu

dowodowego, po prostu z zasady. Stare bezużyteczne już przedmioty ożywają jedynie wtedy, gdy zatrzyma się przy nich poeta i napisze przejmującą elegię.

> *Światło mego dzieciństwa*
>
> *Lampo błogosławiona*
>
> *w sklepach starzyzny*
>
> *spotykam czasem*
>
> *twoje zhańbione ciało*
>
> *a byłas dawniej*
>
> *jasną alegorią*
>
> *duchem uparcie walczącym*
>
> *z demonami gnozy*
>
> *cała wydana oczom*
>
> *jawna*

> *przejrzyście prosta*
>
> *na dnie zbiornika*
>
> *nafta-eliksir pralasów*
>
> *śliski wąż knota*
>
> *z płomienną głową*
>
> *smukłe panieńskie szkiełko*
>
> *i srebrna tarcza z blachy*
>
> *jak Selene w pełni*

Przywołałem fragment jednego z najpiekniejszych wierszy Zbigniewa Herberta *Elegia na odejscie pióra, atramentu, lampy naftowej,* nie tylko dlatego, że ja również pierwsze szkolne zadanie domowe odrabiałem przy lampie naftowej, a na starość większość dnia spędzam przy komputerze, więc znam ból przemijania przedmiotów, ból znikania „oswojonej” postaci świata. Historia wzrostu, świetności i upadku lampy naftowej zawiera rzeczywiście morał, którego nie będzie mógł zignorować wiek następny.

Połowa XIX wieku. Urbanizuje się Europa, urbanizuje się Ameryka. New York mający w 1800 r. 60 tysięcy mieszkańców wkroczył w wiek XX z trzema milionami dusz i takąż liczbą ciał. Ciała potrzebowały pożywienia, dusza jak to wynika zchoćby z wiersza Herberta – światła: na ulicach i przede wszystkim w mieszkaniach. Ponieważ pęczniał nie tylko Nowy Jork, ale również stare miasta jak Londyn, Paryż oraz zupełnie nowe jak nasza Łódź, ceny świec woskowych rosły szybciej niż liczba mieszkańców w Nowym Jorku. Porzekadło „gra warta świeczki" miało wtedy swój twardy dolarowy sens. Świece oliwne były tańsze ale dawały nienajlepsze światło. Najtańszy był olej z wielorybów i światło dawał nie wiele gorsze niż świeca woskowa. Dlatego znim zaczął rodzić się „wiek pary i elektryczności" – co stało się dopiero pod koniec XIX w. – wieloryby zwłaszcza w Arktyce, znalazły się na krawędzi zagłady. Tak wielkie było zapotrzebowanie na tran.

Uratował je skromny aptekarz z Jasła, dziś zupełnie zapomniany galicyjski pionier przemysłu naftowego, Ignacy Łukasiewicz. Poza pracą w aptece i wyrabianiem lekarskich mikstur interesował się olejem skalnym, który czesto -podróżując po okolicy – spotykał i który tylko nadawał się do smarowania osi kół u wozów. I tak długo go destylował, aż otrzymał przezroczystą żółtawą naftę, dobrze się spalającą. Łukasiewicz, człowiek praktyczny, wpadł wtedy na pomysł ,żeby naftą zastąpić wosk. Zaczął konstruować lampę. I tak długo przy niej

majstrował, aż zaczęła bezpiecznie spalać naftę, dając przy tym światło jaśniejsze i równiejsze niż świeca woskowa. Pewne jej odmiany górowały nad świecą łatwością przenoszenia.

Lampa naftowa uratowała wtedy wieloryby. Nie jest to niestety ostatni *happy end* dla wielorybów. Wynalazek Łukasiewicza był oczywiście olbrzymim postępem w stosunku do świecy – postępem w stosunku do oświetlenia. Ale był nie tylko postępem, czyli pożądanym ulepszeniem, pozytywną kontynuacją. Był także początkiem. I to jest w tej historii najważniejsze. Lampa naftowa była pierwszym zastosowaniem oleju skalnego w życiu codziennym. Za nim poszły następne. Było ich tak dużo i tak zmieniały naszą planetę, że lampa przeszła do sklepu ze starzyzną, a o ropę naftową zaczęły się wojny. Nafta stała się krwią cywilizacji i jest nią do tej pory. A krew czasem podlega transfuzji. Do transfuzji nafty z jednego miejsca globu do drugiego służą olbrzymie statki oceaniczne, które czasami ulegają awarii. Drogocenna ciecz wylewa się do oceanów. Wieloryby są znowu na wymarciu.

Telewizja pokazała przerażliwy obraz: wieloryby giną masowo na brzegu oceanu. Uciekają z wody zalanej cieczą, która przed wiekiem paląc się w lampach uratowała życie ich dziadków. Śmierć wielorybów jest może jeszcze dlatego wstrząsająca, że te zwierzęta umierają w sposób ludzki. One nie poddają się śmierci, one smierć wybierają. Wolą umrzeć w powietrzu bez wody niż w

wodzie, która jest naftowym smrodem.

Tragedia wielorybów jest częścią globalnej tragedii; tragedii naszej Matki Ziemi spowodowanej cywilizacyjnym zastosowaniem oleju skalnego.

Gdy usłyszymy o jakims ekstremalnym zachwianiu pogody, wielkiej powodzi lub wielkiej suszy słyszymy najczęściej o El Nino – Dzieciątku, ciepłym prądzie morskim. Istotnie spowodowane przez El Nino ocieplenie ogromnych mas wody w opszarze równika na wschodnim Pacyfiku postawiło na głowie klimat w wielu częściach świata. Zmiany klimatyczne powodują zmiany w biosferze, najszybciej w biosferze bakteryjnej i wirusowej. Epidemia gorączki Rifta-Valleya na wschodzie Afryki, cholera w Ugandzie i Tanzanii, wzrost malarii w Ameryce południowej, to są udokumentowane już skutki pośrednie El Nino. Przechodząc do następnego ogniwa w łańcuchu przyczyn powiedzieć trzeba, że śmiercionośny prąd morski powstał na skutek globalnego ocieplenia klimatu na kuli ziemskiej, do czego w niemałym stopniu przyczyniły się wydzielane do atmosfery spaliny w wiekszości własnie z oleju skalnego – „eliksiru pralasów'.

Przyszłość naszej planety leży w naszych rękach, fot. stokpic z Pixabay

Opowiedziane wyżej zmienne koleje losu obcowania wielorybów z ludzkim postępem w sposób wprost modelowy pokazuje dwuznaczną twarz postępu technicznego. Postęp jest ambiwalentny, i jest to – jak się wydaje – jego konieczna przypadłość. Postęp rodzi, obok zamierzonego przez projektodawców pozytywnego efektu, także niezamierzone efekty uboczne.

Ktoś powiedział, że równanie Newtona są mądrzejsze od samego Newtona. To prwada – w pewnym oczywiście sensie. Newton napewno nie wyobrażał sobie nawet promila konsekwencji, do

których doszły pokolenia jego następców rozwiązując równania przez niego pierwszy raz napisane. Podobnie jest z działalnością technologiczną człowieka. Skromny aptekarz z Galicji nie zdawał sobie sprawy, jak potężną rzekę nowych technologii inicjuje swoim wynalazkiem; rzeka Heraklita w porównaniu z rzeką Łukasiewicza wydaje się malutkim strumyczkiem, ta druga jest wręcz Amazonką.. Pierwsza mierzyła jedynie upływ czasu, gdy druga tworzy jego nowe jego odmiany. W rzece Heraklita każde zanurzenie nogi oznaczało wejście do innej częsci tej samej wody, w rzece Łukasiewicza za każdym razem unosi nas inny płyn. Jak dotąd jednego mogliśmy być pewni: kolejny płyn – w rzeczywistej nie filozoficznej rzece – jest bardziej śmierdzący od poprzedniego. Oczywiście to wszystko było poza zasięgiem wyobraźni galicyjskiego aptekarza, on chciał po prostu rozjaśnić noce w podkarpackich chatach.

Sytuacja wynalazku Łukasiewicza nie jest wyjatkowa lecz typowa. Każdy wynalazek jest jak moneta: ma dwie strony. Na awersie ma twarz anioła, z rewersu grozi nam demon. Rozdzielenie tych stron leży, jak się wydaje, poza ludzkimi siłami. W końcu skażenie ludzkiej natury grzechem pierworodnym nie jest tylko biblijnym mitem. Jedynie, co możemy zrobić, to ograniczyć władzę demona.

Pierwszy krok w tym kierunku to ograniczenie wszechwładzy produkcji i absurdalnego dążenia, wprowadzenie w ruch

wszystkich planet, wszelkiej ludzkiej pomysłowości. Musimy przestać patrzeć na naturę wyłącznie pod kątem jej wykorzystania, jako na środowisko w zasadzie elastyczne; jego ewentualne opory są co najwyżej przeszkodami, które należy pokonać. Jest to postawa władcy i eksploratora, nie współpracownika. Biblijna parabola siewcy, który sieje, dba o ziemię, pielęgnuje ziemię, jej powierza nadzieję plonu,”a gdy stan zboża na to pozwala, zaraz zapuszcza sierp, bo pora jest na żniwo”.Parabola w prosty sposób demonstruje stosunek do przyrody, który można by nazwać stosunkiem sakramentalnym. Zapomnieliśmy o nim zastępując go stosunkiem wyłącznie instrumentalnym. Wyrazem tego ostatniego jest znane przysłowie: lepszy wróbel w garści niż orzeł na drzewie. Otóż nie!

A w każdym razie nie zawsze wróbel w garści jest lepszy od orła na drzewie. Wiek XXI musi – własnie : musi! – uznać zasadność tego odwrócenia. Wróbel w garści jest okazem z muzeum lub produktem na obiad, ale nie jest już ptakiem: ptakiem jest wyłącznie w zaroślach. I dlatego musimy nauczyć się pewną liczbę wróbli wypuścić z garści i to nie tylko po to, żeby zachować orły w dobrej kondycji, ale żeby na planecie zachować człowieka z nieśmiertelną duszą, tzn. człowieka, pamiętającego o przymierzu zawartego z Bogiem i jego stworzeniem, które, jak wiadomo, Stwórca uznał za dobre.

Wiek XXI czeka trudne wyzwanie: opanowanie sztuki ubożenia. Dobrą propedeutyką do opanowania tej sztuki są w języku polskim „kazania” księdza Jana Twardowskiego. Zakończę więc jednym z takich „kazań”;

> *Szukasz prawdy ale nie tajemnic*
>
> *liścia bez drzewa*
>
> *wiedzy a nie zbawienia*
>
> *boisz się opszeć na tym czego nie można*
>
> *dotknąć zaczynasz od sukcesu wielki i*
>
> *zbędny*
>
> *nie milczysz ale pyskujesz o Bogu*
>
> *chcesz być kochany ale sam nie umiesz*
>
> *kochać*
>
> *myślisz ze sobie zawdzięczasz wyrzuty*

> *sumienia*
>
> *nie wiesz że dowodem na istnienie jest to*
>
> *że dowodu nie ma*
>
> *inteligentny a taki niemądry*

Jeśli nie będzie to wołanie na pustyni, wypełniające przykazanie, które Bóg ogłosił po stworzeniu pierwszych ludzi: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” nie uczynimy z ziemi niewolnika, jak dyktuje nam mentalność techniczna, ale przekształcimy ją w ziemię obietnicy, w ziemię obiecaną. Wystarczy tylko pamięć – bagatela! – że ziemia nie jest miejscem swawoli, bo rosną na niej drzewa z owocami zakazanymi. O tym właśnie wiek XX starał się wszelkimi sposobami zapomnieć. Najwyższy czas żeby porzucić paradygmaty zapominania. W zamian mamy obietnice: wieloryby nie będą uciekać z morza, a my będziemy mieć światło w mieszkaniach w długie zimowe wieczory.

Stefan Król – *kanadyjski fizyk, felietonista, mieszkający w London, Ontario.*

Zobacz też:

Zmierzch Zachodu. Rozważania na Nowy Rok.

Refleksja nad wiarą. Rozważania na Wielkanoc.

Święty Franciszek z Asyżu, Włochy, fot.
JulianaSaldanha z Pixabay

Stefan Król (1937-2015)

Różne są drogi przyjmowania i akceptacji wiary, różne sposoby jego rozumienia. Jest wiara radosna, akceptująca w zachwycie całe stworzenie, wiara pokornie znosząca krzyż życia, wyrażająca sie w hymnach dziękczynienia, jak wiara franciszkańska; jest wiara pełna zdumienia i zaskoczenia: *jest Bóg widziałem Go*, wiara nowonawróconych, jak wiara zmarłego wielkiego przyjaciela Jana Pawła II – Andre Frossarda; jest wiarą codziennych pacierzy porannych i wieczornych, wiara utrudzonego znoju – od świtu do zmierzchu, jak wiara

wieśniaków z powieści Reymonta, jest wiara rozterek, wiara ucieczek i powrotów, wiara utracona i odzyskana, jak wiara wielu z nas; jest wreszcie wiara – jednocześnie wiary i niewiary – wiara do konca nieposkromionego buntu, wiara pokonanego sprzeciwu: *Galilejczyku zwyciężyłeś*, jak wiara uczciwych „kibiców" Kościoła; jest jeszcze spychana w podświadomość i odzywająca się tylko w chwilach ciemnych i samotnych wiara zagubiona, gdy – jak w wierszu Jana Twardowskiego – *biorąc tom Lenina z szafy na ręce, szukam zwykłej wiary dziecięcej.*

Racjonalizująca refleksja nad wiarą jest tak stara jak sama wiara. Teologia ma przecież wielowiekową historię, a ojcowie i doktorzy Kościoła to ludzie szczególnie zasłużeni w rozpoznawaniu kompetencji wiary i rozumu, w kształtowaniu naszego powołania życiowego. W dawnej teologii mówiło się: światło wiary i światło rozumu. Ideałem było, aby te dwa światła zlały się w jedno wzmacniające się wzajemnie. W ciągu wieków wytworzyły się nawet pewne tradycje myślenia o wierze. Jeśli wiarę przyjmiemy jako fakt pierwotny, mówimy: wiara szukająca zrozumienia, umieszczając się tym samym w tradycji sięgającej św. Augustyna. Gdy myślimy że, kierując się swiatłem rozumu wzbogaciliśmy światło wiary, wtedy święty Tomasz będzie patronem naszej refleksji, a sytuację odnajdywania wiary opiszemy mówiąc: rozum szukający wiary. Kościół katolicki roztropnie akceptuje obie i żyje obu tradycjami. Ważny jest efekt końcowy.

Ten sięgający głęboko w historię podział jest dzisiaj nie tylko nieadekwatny, co nie chwytający współczesnych problemów wiary. Problemem nie jest już wzmocnienie jednego światła przez drugie. Dzisiejsze projekty oświetlenia chcą ograniczyć światło wiary do prywatnych przedpokojów – broń Boże nie dopuścić tego światła na place publiczne – na salonach ma królować Liberalny Rozum.

Tymczasem zauważamy, że o dogmat Trójcy Świętej nie kłócą się już dziś przekupki na targu w Konstantynopolu, jak pisał kiedyś Tadeusz Zychiewicz. Na ulicach naszych miast pod osłoną demokracji demonstrują natomiast zwolennicy dwu odmiennych orientacji: zostawić czy odebrać Bogu prawo decydowania o początku i końcu życia ludzkiego; przyznac grzechowi realne istnienie w życiu ludzkim i tym samym dopuścic, aby ludzie grzeszący czuli się winni, czy też pożegnać się bez żalu z grzechem jako nieaktualną już i przebrzmiała umową społeczną, w zamian za to organizować różne tygodnie dumy z czegoś co, jeszcze niedawno było co najmniej wstydem; który Bóg jest Bogiem dla nas: czy Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba oraz Ewangielii i katolickiej tradycji, czy Bóg demokratów, którego prawa, prerogatywy i obszary nieingerencji regulowane są wolą większości i interesem wyborców.

Wewnątrz Kościoła katolickiego ten „duch czasu” stworzył całkiem spore grupy tzw. „alekatolików”. Ich postawę wyrażają –

przykładowo – następujące przekonania: jestem katolikiem, ale nie cenię sakramentu kapłaństwa, solidaryzuję się z bohaterem jednej z bajek Andersa, który miał dziwną chorobę: nie mógł znieść widoku księdza. Gdy tylko jakiś ksiądz nawinął mu się na oczy, dostawał ataku wściekłości. – *Od księży nie może wyjść nic dobrego* – to niestety nie wymyślone, ale realnie wypowiedziane zdanie; jestem katolikiem, ale nie uznaję władzy biskupa mojej diecezji, jestem katolikiem, ale zakres nieomylności papieża ustalam ja sam w zależności od moich potrzeb; jestem katolikiem, więc uznaję istnienie prawd obowiązujących zawsze i wszędzie, ale moje „tu i teraz" jest tak specyficzne, że prwady wieczne nie mają tu dostępu, itd. Listę można ciągnąć dalej w zleżności od indywidualonych spotkań i doświadczeń.

Rozum walczy z wiarą – a może jeszcze gorzej – ignoruje wiarę, bo wiara urąga rozumowi – takie jest dzisiaj aprobujące przeświadczenie, jeśli nie większościowe, to w każdym razie większościowo powszechne. Dzisiejsza wiara szuka nie tyle zrozumienia co zastosowań.

Co może zrobić tzw. „szary człowiek" jeśli ta troska jest jego udziałem, jeśli nie jest zadowolony z obecnego „duchowego środowiska człowieka"? Chyba tylko to: być autentycznym świadkiem wiary. A to oznacza starać się przywracać blask cnocie i prawdę słowom. Oczywiście nie przywracać „na świecie", ale w swoim własnym życiu.

Napisałem „blask cnocie” i poczułem się nieswojo. Jakim językiem ja mówię? Od takich słów z daleka czuć zapach naftaliny. Własnie: to, że nie możemy użyć słowa bez cudzysłowu, bez grzecznościowego dystansu w najlepszym przypadku, świadczy nie najlepiej o sytuacji duchowej naszych czasów. Przecież to słowo miało kiedyś aureolę.

W tym felietonie chciałbym przypomnieć cnotę „prostą i łatwą”, cnotę radości.

Przywracać prawdę słowom też trzeba zacząć od najprostrzego kroku: jasnego mówienia. Używać słów raczej „mniejszych” niż „większych”, słowa pełne sensu same będą rosły – takie byłoby pierwsze sposobem belferskim ujęte zalecenie.

Ten aspekt naszego mówienia i dyskusji, nie tylko teologicznych, ale także niektórych kazań niedzielnych, z niesłychaną trafnością uchwycił K.G. Chesterton. By odwołać się do przykładu*: życie cynobityczne*, zamiast; *życie wspólnotowe*, lub: *genialna wolnościowa myśl franciszkańska*, zamiast: *świadectwo św. Franciszka*.

A oto Cherteston:

> Jeśli swoją wypowiedz zaczniemy od słów; Wszyscy

> kryminolodzy doceniają społeczną użyteczność bezterminowych wyroków upatrując w nich krok na drodze socjologicznej ewolucji ku bardziej humanitarnemu i naukowemu podejściu do problemu kar, to z powodzeniem możemy godzinami ciągnąć swój dyskurs bez konieczności odwołania się do naszych szarych komórek. Jeśli jednak nasze wstępne zdanie brzmieć będzie: Jones powinien iść do więzienia, a Brown powinien powiedzieć, kiedy Jones ma stamtąd wyjść, to ku własnemu przerażeniu zoriętujemy się że musimy myśleć. Długie słowa są wyjęte z ładunku treściwego, to własnie zwięzłość przydaje im mocy. W wykrzykniku *„Do diabła!”* Zawiera się o wiele więcej metafizycznej subtelności niż w terminie *„degeneracja”.*

Dlatego pewnie tak nas olśniewają teksty, które uwalniają pierwotną moc słów. Dla mnie takim olśnieniem jest publicystyka Hanny Malewskiej. Główny kanon jej publicystyki zawdzięczamy Andrzejowi Sulikowskiemu, który zebrał po różnych czasopismach rozproszone teksty w jeden tom: o odpowiedzialności i inne szkice *(Hanna Malewska: O odpowiedzialności i inne szkice, oprac. A. Sulikowski, wyd. Znak 1987).*

Hanna Malewska zmarła w 1983 r. Znakomita pisarka polska, znana jest przede wszystkim jako autorka świetnych powieści

historycznych. Mniej znana jest jej publicystyka, choć jest to publicystyka najwyższej próby. Najmniej znany jest fakt, że Hanna Malewska była założycielką i wieloletnim redaktorem mieśięcznika „Znak”, czasopisma, na którym wychowało sie kilka pokoleń inteligencji katolickiej w Polsce. Umiała mówić o wierze nie czytując filozofów, choć oczywiście myśl filozoficzna chrześcijańskiej Europy była jej doskonale znana. W jej osobie wiara szukająca zrozumienia i rozum szukający wiary złączyły się w całość. Jak u św. Tomasza z Akwinu: wiara wieśniaka i wiara wyrafinowanego filozofa stały sie identyczne.

Tyle informacji tytułem wstępu do zamieszczonego niżej krótkiego felietonu Malewskiej pt.”Radość Doskonała”:

> Kiedy św. Franciszek mówił z bratem Leonem o radości doskonałej, w czasie wspólnej wędrówki z Perugii do Asyżu, brat Leon zdumiewał się. Jak to, więc nawet łaska czynienia cudów nie jest radością doskonałą? Nawet znajomość wszystkiego, co jest w Niebie i na ziemi? Ani nawrócenie do Chrystuas wszystkich pogan taką wymową, jakby to sam Pan mówił przez usta nasze? „Nie bracie Leonie, owieczko Boża”. – Więc cóż?
>
> Gdy przyjdziemy w zimną noc pod furtę klasztorną, głodni, bosi, zziębnięci, a furtian nie otworzy, lecz z gniewem powie:

„opryszki jakieś jesteście, a nie bracia nasi” – i dalej trzeba będzie stać, znosić głód i chłód; i to że miłość naszą wzięto za podstęp, obłudę – stać i czekać aż ranek wybieleje… – To jest dopiero bracie Leonie radość doskonała.

Prostoduszny brat Leon, nim doszli jeszcze – zrozumiał. Wszyscy bracia zrozumieli, powtarzali tę rozmowę napełnili nią świat, który przebiegły wszerz i wzdłuż ich bose stopy.

Lecz warto może raz jeszcze wejrzeć w tajemnicę, która dla nich była zbyt trudną tajemnicą: że radość doskonała jest w doskonale zniesionym cierpieniu – i zapytać, o jakim to właściwie cierpieniu była mowa na drodze z Perugii do Asyżu?

Świety Franciszek był poetą; był z ducha błędnych rycerzy średniowiecznego chrześcijaństwa. Bezbronny stawiał czoła sułtanowi, chciał samoofiary misjonarzy w miejsce boju krzyżowców. Ogołocił sie ze wszystkiego i zniósł mękę stygmatów. I on, i bracia jego przecierpieli w życiu o wiele więcej niż chłód jednej nocy i burkliwość jednego zaspanego furtiana, wielu poniosło męczeństwo, więcej jeszcze gotowało się na nie przez całe życie.

A jednak ojciec franciszek idąc z bratem Leonem kamieńistą ścieżyną Umbrii nie męczeństwo, nie trudy misyjne, nie

> gniewy sułtanów nazwał radością doskonałą. Ale niewielkie właściwie utrapienie. Nie dające nic wyobraźni, nie żądające na pozór wielkiego męstwa. Wszelką strawę zabierającą pysze. Takie, które się może zdarzyć każdemu i co dzień.
>
> „Gdy to zniesiemy bez szemrania…" – radość każdego dnia może być doskonała.
>
> Znieść ochotnie krzywdzące słowa – te najdotkliwsze od swoich – uśmiechnąć się do listopadowej pogody, mieć cierpliwość wobec słabości własnych poranionych nóg i łaknącego drżącego ciała, w milczeniu wyczekać ranka. To wszystko – w imię Chrystusa – dziś jutro i kiedykolwiek się przydarzy. I właściwie nic nadto, bracie Leonie, nie potrzeba.

Wspólna droga z Perugii do Asyżu wystarczyła, aby brat Leon zrozumiał świętego rozmówcę.

Czy my po prawie ośmiu wiekach od tamtej rozmowy, uzbrojeni w analityczne szkiełko i oko „nowoczesności", znający doskonale różnicę między chrześcijaństwem „starym" i „nowym", rozprawiający z niekrępującą się pewnością siebie o wolności, godności, powrocie do źródeł, naprawdę rozumiemy świętego Frańciszka? Czy rozumiemy choćby tak, jak nie mający kursów

uniwersyteckich, ale pragnący czynić dobrze, brat Leon? Czy przypadkiem nie redukujemy świętego Franciszka do naszych celofanowo-sterylnych wyobrażeń, w których nie ma miejsca na cierpienie? Czy nie zalewa nas wielosłowie? A przede wszystkim: czy potrafimy postawić na serio pytanie brata Leona o radość doskonałą, kiedy dbamy jedynie o przyjemności?

Stefan Król, mieszkający w London, Ontario, zmarły w 2015 r. kanadyjski fizyk i felietonista.

Za udostępnienie materiałów dziękujemy żonie autora, pani Mariannie Król z Kanady.

Zobacz też:

> Mały słownik staropolskich obyczajów wielkanocnych